

BRZASK



R. 59

Dwumiesięcznik uczennic Semi-
narjum Naucz. i Gimnazjum
w Marjówce

Rok VIII.

Maj 1935

Nr. 31



GDY PATRZĘ NA TE PŁOWE GŁÓWKI....

Snują się, snują myśli jedne za drugimi, gdy patrzę na biegające przede mną rozbawione dzieci. Jedne są wesole — trudno mi nie cieszyć się ich szczęśliwą młodością, ich zadowoleniem, płynącym z czystego, dziecięcego serduszka, ich jasną duszą, nieznającą jeszcze, co to smutek, cierpienie, co źli ludzie. Szczęśliwe...szczęśliwe ze wszystkim, co mają w sobie, ze wszystkim, co je otacza.

Inne są mniej żywe, ale pogodne. Czy zawsze te dzieci będą takie, jak teraz, beztroskie, wesole? Czy nigdy w ich serduszkach nie zrodzi się jakieś uczucie, które zatruje im życie? Czy w tych kochanych płowych główkach nie będzie kiedy złej myśli, że żyć nie warto, niema poco?

Tyle pytań, któż odpowie na nie? Nikt, i ja, której nasuwają się te pytania, nie wiem, jaką dać odpowiedź.

Jednak mimo to wiem dużo. Wiem, że my możemy postarać się, aby odpowiedź wypadła: Nie, tak nie będzie. W tych jasnych główkach nie zrodzi się beznadziejna myśl, że nie warto żyć; my możemy uczynić to, że dzieci, przez nas wychowane, z gorącą wiarą będą szły mężnie przez życie, aż dojdą tam, gdzie czeka na nie Sama Miłość — Bóg.

Ale przede wszystkim my, które w przyszłości będziemy urabiały te młodziutkie serduszka, my, na które nałożony będzie obowiązek stwarzanie charakterów, niedających się złamać życiem, powinniśmy mieć tę bezgraniczną wiarę, która przez wszystko dobro i zło potrafi doprowadzić tam, dokąd wszyscy dążymy.

L. K. k. V



WSTĘPNE KROKI NA DRODZE PEDAGOGICZNEJ.

Wszystkim wiadomo, że kandydatki na nauczycielki stawiają pierwsze kroki dopiero na IV kursie. Jedne stawiają je niezgrabnie, lękliwie, inne czują lekkie dreszcze, ale nadrabiają minami, inne jeszcze wstępują na drogę pedagogiczną energicznie i chociaż czasami noga im się podwinie, jednak nie zrażają się tem. Nic to—najgorsze początki.

Pierwszym krokiem kandydatki na nauczycielkę jest pierwszy dyżur w szkole powszechnej. Dyżury mają bardzo dużo uroku dla tych, które na nie chodziły. Nic też dziwnego, że powitałyśmy z radością oznajmienie panny Marji: „Dziewczynki, jutro I-sza grupa rozpoczyna dyżur!” Zaczynamy dyżury — mamy po dwie chodzić do każdej klasy szkoły powszechnej i bawić się z dziećmi. Ja z Siešką idę do I-ej i II-giej klasy, Ciekawe, jak to będzie. Staję przed lustrem i uczę się robić poważną minę. Trzeba przecież odrazu wzbudzić wśród dzieci respekt dla „pani”

Po długich wykrzywianiach się zdołałam przybrać odpowiedni wyraz twarzy. Teraz należy spokojnie zejść z drugiego piętra (broń Boże, nie zjeżdżać po poręczy), przejść przez trzy sale powoli, uważnie, żeby nie popsuć „fasonu”. Jestem pod drzwiami, z za których dochodzą miłe memu uchu wrzaski. Czuje, że moje surowe oblicze zaczyna się „rozkrochmalać”. To niedobrze. Szybko wchodzę do klasy i coś widzę? Oto kilku malców goni się po ławkach. Stoję i czekam, co będzie dalej.

„W środku” aż mi coś skacze na widok dzieciarni. Z jaką chęcią samabym z niemi goniła się, skacząc z ławki na ławkę! Ale „stop” — powaga IV kursu! Więc marszczę groźnie brwi i mówię: „Proszę zejść z ławek!”

O mały figiel nie dodałam: „To niepedagogicznie biegać po ławkach” (Na ostatniej lekcji było o czymś niepedagogicznym). Dzieci spojrzały na mnie niechętnie, ale posłuchały.

Żal mi się ich zrobiło i byłam zła na siebie, że psuję małym ludziom najmiłą zabawę.

Nagle przypomniała mi się jedna uwaga wychowawcza: przecież dzieci nie powiedziały mi dzieńdobry!

Ale jak im to powiedzieć? (Pierwszy raz w życiu będę upominać się o należyty mej osobie szacunek).

Tymczasem mali obywatele zabierają się do układania klocków. Jest to zabawa ze wszech miar pożądana (pedagogiczna), więc dzieci nie obawiają się, żeby im ktoś ją przerwał. Podchodzę do nich: „Dzieci, czy nie wiecie, co trzeba powiedzieć, gdy pani wejdzie do klasy?”

Zaczerwieniłam się nagle, bo uprzytomniłam sobie, że wyrażam się nieścisłe. Przecież dzieci mają nie tylko coś powiedzieć, ale i zrobić, to jest uklonąć się. Na szczęście malcy nie poznali się na tem. Kilku wstało, stuknęło obcasami, szastnęło nogami, a pozostali wstydliwie zasłonili buzie łapkami, ale widziałam, że się ze mnie śmieją. Postawiłam się w ich położeniu: gdyby tak ktoś przerwał mi moją zabawę i wymagał, żebym mu się kłaniała?.. Ale niema czasu na refleksje. Przybieram teraz łaskawy wyraz twarzy i, jak królowa do swoich poddanych, mówię: „Co robicie?” W duchu myślę sobie: „Gdyby który z tych malców mi powiedział: —Co

pani do tego? — byłoby zupełnie na miejscu." Rż mię ciarki przeszły. Żeby pokryć zmieszanie, zaczynam chwalić ich robotę.

Weszło kilka dziewczynek (też się nie ukloniły i musiałam zrobić „pedagogiczną” uwagę), potem kilku chłopców. Powoli klasa zapelnia się. Gdyby to tak było można zrezygnować z powagi, czułabym się doskonale w tem gronie, ale tak?.. Chłopcy wyratowali mię z kłopotu. Złapali jakiś kij i wybiegli na dwór. Poszłam za nimi.

„Co będziecie robić?”

Spojrzeni na mnie niechętnie. W ich oczach wyraźnie wyczytałam: „Czego pani się wtrąca do nas i psuje nam zabawę?” Tego już miałam dosyć. Ja miałabym psuć dzieciom zabawę? O nie, nigdy do tego nie dojdzie. Dosyć już mam sztucznej powagi!

„Wiecie, chłopcy, będziemy rzucać, kto dalej — dobrze?” Podobają im się. Zaraz jeden jak cisnął drągiem, to o mało szyby nie wybił.

„Chodźcie dalej!”

Ruszyliśmy biegiem. „O, tu już można. Dajcie, ja pierwsza!” Furknął kij w powietrzu i poleciał dosyć daleko. Potem rzucali wszyscy kolejno.

Któryś rzucił dalej od „pani” Nagle przypomniała mi się jedna gra w kije — „w czyża”. Pamiętam, gdy byłam jeszcze mała, grę tę uprawiali wszyscy chłopcy. Sama gra jest bardzo miła i jeżeli rodzice nie dawali nam się w nią bawić, to tylko dlatego, że można było często dostać kijem w głowę.

Pomyślałam chwilę i zawyrokowałam: „Nauczę ich”.

Chłopcom aż oczy zabłysły. Już do samego dzwonka kije furczały w powietrzu, a każdy malec, który zdobył kilka punktów, skakał z radości.

Dzwonek!

Moje chłopaki bez przypomnienia kłaniają mi się i mówią „dowidzenia”, a zaraz potem dodają: „Jutro też będziemy grać w czyża — dobrze?”

„Dobrze, tylko przynieście lepsze kije. Jeden długi, drugi krótki”. „Przyniesiemy, przyniesiemy!”

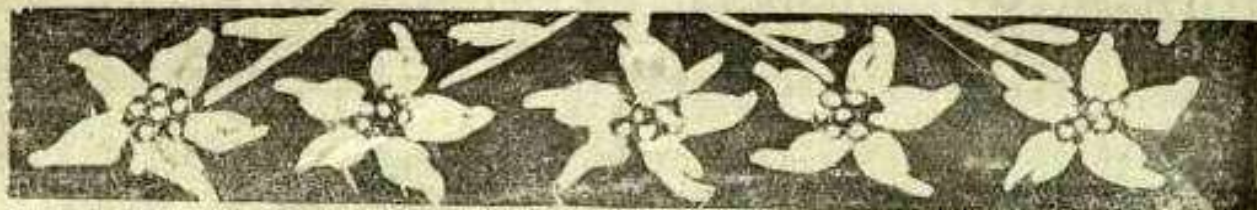
Drugiego dnia już nie stałam przed lustrem. Poszłam do dzieci, a właściwie pobiegłam, bo mi się śpieszyło do „czyża”.

Chłopcy już czekali. Zdaleka krzyczeli „dzieńdobry”, wywijając w powietrzu kijami. Zaraz też rozpoczęliśmy grę.

I tak było przez tydzień. Teraz czekam z utęsknieniem kolejki, aby iść na dyżur.

Z mojej tygodniowej pracy wyciągnęłam wniosek pedagogiczny: Jeżeli chcesz czuć się dobrze wśród dzieci i jeżeli chcesz, żeby i dzieciom było z tobą dobrze, zrezygnuj z „pompy” i stań się sama dzieckiem.

Kurs IV-ty.



Z NASZYCH WYWIADÓW.

„Dziś zbiórka w terenie. Musimy zrobić wywiad w Marysinie. Proszę ubrać się ciepło i zebrać się przed domem” — oznajmia zastępowa.

— — — — —

„Zastępl — w szeregu zbiórka
Do dwu odlicz! Dwój—ki w pra—wo zwrot, naprzód marsz!”
Idziemy w stronę Marysina.

— — — — —

Jesteśmy już we wsi. Każda dwójka według rozkazu zastępowej ma zrobić wywiad samą.

Moja towarzyszka i ja postanawiamy zwrócić główną uwagę na „za-
możność” mieszkańców Marysina. Wstępujemy więc do jednej z pierwszych
chałup, która, prawdę mówiąc, podobna jest raczej do średnio utrzymanej
psiej budy, niż do domu mieszkalnego.

Wchodzimy do środka. Wprost ze dworu prowadzą drzwi do sieni,
która widocznie z braku obory jest miejscem postoju krowy. We drzwiach,
prowadzących z izby do sieni, ukazała się kobieta. Bez specjalnego jej
zaproszenia weszliśmy do środka. Jakiego uczucia doznałam po rozejrze-
niu się po izbie, wypowiedzieć trudno. Mogę tylko stwierdzić, że podobnej
biedy nie widziałam jeszcze nigdy.

Niewielka izba, pełna dymu i śmieci, daje schronienie siedmiorgu lu-
dziom. Jedno łóżko zbite z desek, nieoheblowanych zupełnie, z garstką sło-
my, przyrzuconej gałganami, jest miejscem spoczynku nocnego tych sa-
mych siedmiu osób.

Wierzyć się wprost nie chce własnym oczom.

Pięcioro bosych dzieci kręci się po glinianej podłodze, a matka, za-
łzawiona od dymu, podkładając gałęzie zielonego zupełnie jałowcu pod
kuchnię, gotuje kartofle. Przez chwilę nie wiedziałam zupełnie, jak i co
przemówić do tej kobiety, która wyglądała na mocno niezadowoloną z naszej
wizyty.

Dzieciarnia, zdziwiona i przestraszona trochę, skupiła się w jednym
z kątów izby. Jak zaczęłam rozmowę, nie wiem, w każdym razie poszła
ona dość gładko.

Okazało się, że matka nie była tak niesympatyczna, jak nam się zda-
wało na pierwszy rzut oka. Na pytania nasze odpowiadała nerwowo i cha-
otycznie. Mąż jej nie ma stałej pracy, jedynym środkiem dostarczenia ro-
dzinie kawałka chleba — to zebranie po wsiach.

Chałupa też nieogrzana, bo porządnego drzewa niema, a jałowiec
zielony i mokry nie da tyle ciepła, by izbę, gdzie ze wszystkich stron przez
liczne szpary dmucha wiatr, ogrzać.

„Gdyby chociaż ta dzieciarnia miała co na nogach” — powiada kobieta. „Więc oni całą zimę chodzą boso?” pytam. „A tak, jak niema butów, to co zrobić? Spojrzałam na te bose, czerwone, pokryte strupami nogi. „Ile lat ma najmłodsze?” pytam

„Dwa”.

„A cóż ugotujecie mu na kolację, kartofli chyba jeszcze nie je?”

„Akurat, paniusiu, gotowałam mu nie wiem co. Żeby i te kartofle miał codziennie, to też byłoby dobrze. Minie czasami dwa dni, a on jak i wszyscy nie weźmie nic do ust, bo nie ma co”

„A cóż dajecie krowie jeść?”

„A cóż? nic. Czasami zgryzie tam trochę słomy, jak dadzą sąsiedzi”.

„No, to może lepiej byłoby ją sprzedać?”

„O, nie, paniusiu, ona nam bardzo potrzebna. W te duże mrozy bylibyśmy wraz z dziećmi pomarзли, gdyby nie ona.

Przyprowadzało się ją do łóżka i ta, chuchając, ogrzewała dzieciaki.”

Musiałam skończyć rozmowę. Bałam się, by nie powiedziała więcej.

Czułam, że za wiele na jeden raz. Pocieszywszy więc kobiecinę obietnicą powtórnego przyjścia wraz z zapasami żywności i ubrania, wyszliśmy.

Zosia T. k. IV.

KROPLA GORYCZY.

Jesteśmy na wycieczce. Inny świat. Wokoło nas tylko słońce i uśmiechy, uśmiechy i słońce. Złote liście drzew, złote od słońca dachy, złote od uśmiechu twarze. Cały świat złoty, radosny. Aż oto przyprósza i zaćmiewa tę radość i złoto jeden napozór nic nieznaczący wypadek. Czyjaś śmierć. Śmierć nieznana i nikogo nie obchodząca.

A było to tak: zwiedzamy Wilanów, kościół. Zaraz na wstępie przed drzwiami stoi trumna, a koło niej czterech dziadków-żebraków. I nic więcej. Czarna, prosta trumna i ci ludzie, na których twarzach wyrły nędza głębokie brzozy. Trumna czarna i ci ludzie. Więcej nic! Ale czyż naprawdę nic? To cała tragedia życia ludzkiego. Podchodzi do nas jeden z żebraków i mówi: „A to, proszę łaski pań, zabili go, zabili przy pilnowaniu sadu, stareńki był, bez domu”. Tyle tylko słów. Nic więcej. I to cała tragedia życia ludzkiego. Nie pytamy o nic. Zresztą poco? Wszystkie odchodzą. Patrzą za nami i nie mogą się ruszyć. Jeden moment i otworzyła mi się dusza. Coś w niej zakało. Nad czym? Czy nad trumną. Nie. Nad życiem ludzi, ludzi „stareńkich i bezdomnych”. A przecież tak będzie, było i jest. A jednak ta kropla żalu, jak piolun gorzka, ta kropla żalu nad nędzą ludzką... I smutno mi, bo widzę łzy i nędzę, tragedję życia ludzkiego, co gasi złoto uśmiechów na twarzy.

Ksiądz trumnę pokropił i zaniesli ją na cmentarz. Szło za nią tylko tych czterech dziadków — nędzarzy, co może jak ten, co leżał snem wiecznym uśpiony, byli „stareńcy i bezdomni”. Ach, jeszcze jakiś chłopiec,

niósł krzyż... I nic więcej. Słońce było złote, liście złote i złote uśmiechy na twarzy, ale uśmiechy smutne. I zresztą nic się nie zmieniło. Wkoło było życie takie, jak przedtem, jak przedtem beztroskie. Nic się nie zmieniło — tylko ta trumna, w której odszedł jeden „bezdomny i stareńki..” Ale nie powołał go Pan, a zabiła złość ludzka.

I dlatego przyćmione zostało złoto słońca, dlatego ktoś płakał w duszy i dlatego siedł za trumną smutek nieskończonem pasmem.

W. Kowalska k. V.

BIEGAĆ, ABY MATURE ZDAĆ!

Motto: W zdrowem ciele duch zdrowy,
A więc biegaj, maturą nie zawracaj sobie głowy.
Z owego motto sens taki:

Abym maturę zdać,
Całe dni trza biegać.

Hm... hm.. dobrzeby to było. Zgodziłabym się na najszałejsze biegi, chociażby z wywieszonym językiem. Kiedy tak, to biegajmy.

— — — — —
Lop, Szkop, Weńka, Rynciol! Idziemy na spacer! — Dobrze. Dokąd?
— At, przed siebie, gdzie nogi poniosą.

Naprzelaj przez pola, omijając zagryplony i zatyfuszony Smogorzów, lecimy.

„Chmury z drogi, sepy z drogi”....

Co chwila tylko któraś z trudem wyciąga swą wdzięczną nóżkę z wykrotu. Już sił nie staje. — Co za szalony pęd! Zwalniamy kroku. Zaczyna się zwykła spacerowa rozmówka. Prześlizgujemy się z tematu na temat. A tymczasem Lop wpadła w wykrot, aż jej woda wychlusnęła z „deszczolaza” — Niczem to jest wobec... wobec.. kwaszonego ogórka — mówi Rynciol — A ty zawsze o ogórkach, zaogórczony człeczko — odcina się Lop. Idziemy dalej. — Jednak życie jest piękne — chociaż matura za pasem — mówi Szkop.

A cóżto matura? — To mucha — to kawałek kiełbasy, do której trzeba trochę strawnego żołądka.

— Tak, tak, życie jest piękne. — Te pola, przybrane w białe wstęgi śniegu... Tak, tak, one nie przeszkadzają w biegu. — Lop rymuje Szkopowi, która, nie zwracając na nią uwagi, nadal trwa w swym rozmarzeniu:

— Owe lasy ciemne tam... wdali... Ach, poszłabym...

— No, no, Szkopiel! tylko nie deztereruj, bo ani myślimy cię szukać, bo już nogi nas boją. Ciężko oddychamy.. Jesteśmy zmęczone.

No, taki szmat drogi zrobić... Z przyjemnością wsiadłabym do samolotu, — rzecze Szkop. — Co za mrzonki — tybyś na najprostszą furę wsiadła — mówi Weńka. — Cicho, jedzie fura... Krzyczymy, kiwamy, wołamy na furmana, by nas zabrał, ale chłop jest nieczuły. Rade nierade idziemy. Zmęczenie rozpościera swe skrzydła nad nami. Pewnie, po kilkudniowym siedzeniu takie biegi...

Pst... Jedzie druga fura. Ale czy zechce nas zabrać? Ej, chyba nie, za dużo nas. Niech która uda chorą — to da się coś zrobić! — Świetnie, Szkop ma chustkę. No, udaj cierpiącą — przypuśćmy na zęby. — Podtrzymujemy skrzywioną chorą i prowadzimy troskliwie. Nadjeżdża fura.

Wenia: — Gospodarzu, możebyście tak podwieźli kawałek tę chorą? — Dobrze, siadajcie — i podcina konie. Naturalnie, nie trzeba nam tego dwa razy powtarzać. Puszczamy naszą „chorą” i pędzimy za furą. Doganiamy ją i z triumfującą miną zajmujemy miejsca. A nasz Szkopuniol — O, doloż nieszczęśliwa! Maszeruje szosą, zostawiona na łasce wichru. — Ady chorą zostawiłyśta na drodze — mówi zdziwiony chłop. Porozumiewamy się uśmiechami, zagadując gospodarza. Biedny Szkop, myślała, że jako „chora” pierwsza będzie jechać, a tu los inaczej zrządził. (Tak to wszędzie — siła.. spryt...)

Zawada. Zsiadamy i wracamy po Szkopa, a z nim do Marjówki. Jesteśmy pełne humoru. Przynosimy ze sobą powiew świeżego powietrza, mocno zaczerwienione policzki i końce nosów, i humor, którym zarażamy nasze koleżanki. Z zapalem, „z nabitemi akumulatorami” zabieramy się do nauki, a tem samem do matury.... Mamy głębokie przekonanie, że po takich biegach matura pewna.

Sabka k. IV-ty.



DZIAŁ BYŁYCH WYCHOWANEK.

Kształcenie prawdomówności.

Żyjemy w okresie przełomowym, w okresie obniżenia poziomu moralnego. Pomimo tylu zdobyczy w dziedzinie techniki i wynalazków nastąpił zupełny zastój w dziedzinie duchowej.

Zastój moralny nietylko daje się odczuwać u jednostek, ogarnął on całe społeczeństwa, a nawet, można powiedzieć — cały świat. Nastąpił między państwami rozdźwięk; niby pozornie istnieje przyjaźń polityczna, lecz w rzeczywistości nikt nikomu nie wierzy. Wzajemne zaufanie prawie zanikło, a cóż jest początkiem tego braku zaufania?

Oto wyrugowano prawdomówność z życia, gdyż mniej popłaca, jak mniema ogół, a kłamstwo rozpanoszyło się na całej linii. Czy mamy pozostać w tem błędnem mniemaniu i młode pokolenia skierować po tej pochyłości?

Nie — musimy rozpocząć walkę, walkę z kłamstwem, począwszy od podstaw społeczeństwa — od szkoły. Wiemy, że celem szkoły jest przygotować wszechstronnie wychowanka do życia, więc nietylko mamy dać mu zasób wiedzy, ale i wykształcić jego charakter, bo ten jest głównym

motorem w życiu człowieka. Czynnikiem najważniejszym w charakterze jednostki jest właśnie prawdomówność. Najważniejszym środkiem w kształceniu prawdomówności jest zaufanie wychowanka do wychowawcy. Bez tego stosunku mowy być nie może o wyrobieniu prawdomówności w wychowanku. Z praktyki wychowawca wie, że jeżeli uczeń ma zaufanie, to do wszystkiego się przyzna. Zdarza się często, że dziecko mówi nieprawdę, lecz nie możemy od razu brać tego tragicznie. Trzeba dokładnie dany fakt zbadać i wykryć przyczynę kłamstwa. W szkole mamy do czynienia z różnymi typami, jedne dzieci posiadają bardzo bujną wyobraźnię, inne mniej bujną. Często dziecko nie liczy się z rzeczywistością, tak mówi, jak mu nasuwa jego wyobraźnia — jest to kłamstwo fantastyczne. W takim wypadku każdy dziecku sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest, jak ono mówi. Miałam podobny wypadek w oddz. I-szym. Przychodzi koleżanka do mojej klasy i pyta: „Dzieci, może które znalazło zegarek, wczoraj wieczorem zgubiłam”. Jeden chłopiec wstaje i mówi: „Ja dzisiaj rano widziałem u naszej pani pod oknem”. Powiedzenie to wywołało ogólny śmiech. Kazałam mu iść sprawdzić, po powrocie chłopca pytam: „Znalazłeś?” „Nie, bo już niema”. Inne dzieci, które razem z nim były, przekonały go, że mu się tylko zdawało, iż widział zegarek. Podobnych wypadków z tym uczniem zdarzyło się kilka. Np. gdy coś opowiadałam, wstawał i mówił mi: „Proszę pani, ja też to widziałem” (znając bliżej to dziecko, wiem, że nie mogło tego widzieć, a tylko mu się zdawało).

Jeżeli zauważymy u dzieci przewagę kłamstw fantastycznych, trzeba przeprowadzać z nimi dokładne obserwacje, np. dać im jakiś obrazek lub przedmiot do obserwacji i potem kazać się wypowiedzieć na dany temat. Jeśli przekonamy się o niedokładnej obserwacji, polecamy przyjrzeć się jeszcze raz i błąd sprostować. Inne sposoby: jeżeli zdarzył się jakiś wypadek w szkole, którego przebieg nauczycielka dokładnie zna, niech każe dzieciom opowiedzieć. Zaraz przy pomocy innych dzieci podkreślamy, co jest prawdą, a co zmyśłone (dzieci od razu zaprzeczają, gdy kolega „buja”). Idziemy na wycieczkę — kazać dokładnie wszystko zaobserwować, co dzieci spotykają, przy sprawozdaniu przekonamy się o dokładności spostrzeżeń. Dobre są i opowiadania z przeżyć dzieci np. jakiegoś ważniejszego uroczystości czy zdarzenia. Obserwacje pomagają do zwalczania nie tylko kłamstw fantastycznych, ale i takich, które pochodzą z chęci popisania się przed innymi.

Praca jest ułatwiona, jeżeli wychowawca jeden oddział prowadzi od początku i duży nacisk kładzie na prawdomówność. Może być pewny, że jeżeli zyskał zaufanie dzieci i stosował odpowiednie środki, wychowanek po ukończeniu szkoły nie odważy się na kłamstwo.

Często z trudem przychodzi kształcenie prawdomówności, jeżeli się

obejmuje oddziały starsze, a dzieci tylko terorem zmuszane były do prawdy — kiedy kij zniknął z przed ich oczu, kłamstwo objęło swoje panowanie.

Nie wolno nam jednak zniechęcać się, lecz energicznie trzeba zabrać się do pracy. Zacząć nie od wielkich rzeczy, ale od drobnostek, które życie szkolne nasuwa na każdym kroku. Zdobyć zaufanie klasy, wspólnie pracować, praktycznie wykazywać rezultaty prawdomówności. Np. dzieci często się spóźniają — zbadać dlaczego, jeżeli dziecko mówi prawdę, wierzyć mu i nie karać, a raczej wpłynąć na rodziców, żeby wcześniej wysyłać dziecko do szkoły. Gdy nauczyciel tłumaczenia dziecka nie przyjmie, to ono na drugi raz napewno zdobędzie się na kłamstwo.

Ważnym czynnikiem w ćwiczeniu prawdomówności jest postępowanie nauczyciela wobec dzieci. Np. gdy zdarzy się, że dzieci wysuną na lekcji jakieś zagadnienie, na które nauczyciel od razu nie może dać odpowiedzi, niech ma odwagę i powie szczerze, że kiedy indziej da odpowiedź. Niech się nie obawia, że obniży swój autorytet, przeciwnie — spotka się tylko z uznaniem (twierdzę jedynie na podstawie własnej praktyki, gdyż miałam kilka razy podobne wypadki).

Nieraz nauczyciel pomyli się, czy też źle się wyrazi (ze zmęczenia), niech się też otwarcie przyzna do winy. Niechaj dzieci widzą, że nauczyciel jest człowiekiem i jest zmuszony również do pracy nad sobą.

Trzeba przekonać dzieci, że prawdomówność stanowi o wartości człowieka, ułatwia mu życie i zdobywa szacunek u ludzi; wykazać, jakie następstwa wywołują nawet drobne kłamstwa, nie tylko materialnie lecz i moralnie, opierając się na przykładach z życia; przedstawić dzieciom, jak wielkim męstwem jest mówić zawsze prawdę.

Kto jest kłamcą — jest tchórzem, gdyż boi się przykrości za popełnione przestępstwo — dzieci same dojdą do powyższego twierdzenia. Człowiek szlachetny nie powinien nigdy lękać się trudności, lecz odważnie i mężnie borykać się z losem, jaki na swej drodze spotka. A dziecko przecież jest rozwijającym się człowiekiem i ono kiedyś zetknie się z życiem.

Prawdomówność objawia się nie tylko w mowie, lecz i w całym postępowaniu, w ruchach, a nawet i w ubiorze, i tego rodzaju prawdomówność muszą dzieci w sobie wyrabiać.

Z doświadczenia wiemy, jak nie znosimy fałszu i obłudy, jak nisko stawiamy brak prawdomówności. Dołóżmy więc najusilniejszych starań w naszej pracy wychowawczej, aby choć trochę wytepić kłamstwo, które tak głęboko zapuściło swoje korzenie, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Przyczynmy się naszą pracą, aby znikło hasło doby dzisiejszej — fałsz i kłamstwo, a zapanowała jedynie prawdomówność, tak w stosunkach prywatnych, jak też i społecznych.

A. K.



MŁODZIEŻ SZKOLNA A UMUZYKALNIENIE.

Gdy na równej szali zestawimy muzykalność obcych narodów z naszą, musimy, niestety, przyznać, że społeczeństwo nasze znacznie niżej stoi pod tym względem.

Choć Filharmonja Warszawska wiele przyczyniła się do obudzenia nas z uśpienia duchowego, to jednak i jej koncerty niezawsze świadczą o umuzykalnieniu słuchaczy, skoro publiczność chętniej słucha żołnierskich piosenek, tang lub foxtrotów.

Pustka w sali Filharmonji w czasie koncertu Chopinowskiego, cieszącego się wielkim uznaniem zagranicą, jest najlepszym dowodem, że zagranica przewyższa nas pod tym względem.

Nie zastanawiamy się nad tem, dlaczego tak jest, gdyż źródła tej tajemnicy należałoby szukać w zasadach moralnych, jakim nasz ogół hołduje — sądzę jednak, że drugą przyczyną tego bądź co bądź niesympatycznego zjawiska jest brak zamiłowania do sztuki muzycznej i brak zrozumienia muzyki.

Chcąc temu zaradzić, chcąc wytworzyć audytorjum nietylko umiejące przychodzić na poważne koncerty, ale i umiejące słuchać takowych, trzeba zacząć najpierw od umuzykalnienia naszej młodzieży szkolnej. Wielki krok naprzód w tym kierunku zrobili koncerty i poranki muzyczne, urządzone przez Filharmonję Warszawską, a nadawane przez polskie radio, które to poranki dzięki odpowiednim komentarzom uczą młodzież szkolną nie tylko słuchać, ale i rozumieć muzykę.

Drugim środkiem umuzykalnienia młodzieży, bardziej dostępnym od poranków muzycznych, bo przecież niekażda szkoła posiada radio, jest śpiew.

Nowe programy kładą duży nacisk na naukę śpiewu w szkole powszechnej. Chodzi o rozśpiewanie dzieci, gdyż śpiew wprowadza atmosferę radości, ukochanie szkoły i rozwija szlachetne uczucia w zależności od treści i melodji pieśni.

Już w najmłodszych klasach winny rozbrzmiewać piosenki, wywołujące uśmiech i radość życia. Obok pieśni wesołych należy uczyć pieśni poważnych o pewnej wartości artystycznej, przemawiających głębiej do duszy dzieci, np. Noskowskiego, Moniuszki i t. p.

Pieśni muszą być jednak starannie opracowane, t. zn. śpiewane bez błędów melodyjnych i rytmicznych. Pamiętajmy, że rytm jest głównym brakiem narodów słowiańskich.

Zadaniem nauczyciela jest podnieść wartość śpiewu przez muzyczne wykonywanie pieśni. Całe życie szkolne powinno być przeplatane pieśnią np. wycieczki, uroczystości, zebrania organizacyjne, nawet przedmioty nauczania.

Przez pieśń, jak zaznaczyłam, mamy rozbudzać uczucia, a więc trzeba dobierać odpowiednie pieśni religijne, patriotyczne, regionalne i t. d.

Te ostatnie dają poznać dzieciom charakter i obyczaje ludu polskiego poszczególnych dzielnic Polski. Możemy więc śpiewać następujące pieśni regionalne: krakowskie, mazurskie, góralskie, śląskie, kaszubskie i t. d.

Oprócz pieśni innych regionów duży nacisk położyć trzeba na typowe piosenki własnego i sąsiedniego regionu. Ale tu bardzo musimy uważać, żeby piosenki były odpowiednie, gdyż cała masa jest takich, które zupełnie dla dziatwy szkolnej nie nadają się. Mają bowiem treść niemoralną, a zmiana słów w takim wypadku jest jeszcze gorsza. Lepiej wogóle takich pieśni nie śpiewać.

Co do ćwiczeń teoretycznych dzisiejszy program zaleca je tylko jako pomoc do muzycznego wykonania pieśni. Błędem jest przypuszczenie, jakoby teorię pominięto w naszych programach. Wprawdzie mniej, ale podaje ją się tylko w innej szacie i w innych okolicznościach.

Jednak przygotowanie nauczyciela musi tu być jeszcze gruntowniejsze, ażeby wiedział, w jakiej chwili musi zastosować ćwiczenie poprawcze czyto rytmu, czy melodji. Nie może bowiem wprowadzać ich za wiele ani też całkiem pomijać. To samo odnosi się do wprowadzania teoretycznych wiadomości.

Jeżeli chcemy, aby praca nasza była owocna, musimy pogłębiać nasze zdolności muzyczne jako też umiejętności.

Starajmy się o rozśpiewanie szkoły polskiej, a echo pieśni jej niech dąży hen poza granice, abyśmy przekonali sąsiadów wyżej stojących pod względem umuzykalnienia, że młodzież nasza ma prawdziwe wyczucie piękna.

Hanka P.



WIOSNA.

*Przyleciały już bociany
Z za dalekich mórz,
Słońko coraz mocniej grzeje,
Bo to wiosna już.*

*Lekki wietrzyk muska skronie,
Śpiewa ptaszek chór,
Zielenią się lasy, błonie,
Łąki, stoki gór.*

*Tutaj strumyk szemrze cicho
Powitalną pieśń,
A zefirek hen roznosi
Tę radosną wieść:*

*Że zlej zimy minął czas,
Wiosna jest znów z nami,
I słoneczko wabi nas
Swemi promieniami.*

*A więc rzućmy w kąty smutki,
Precz niech idą ból i łzy!
Bo nie można wtedy płakać,
Kiedy przyszły wiosny dni.*

Zosia kl. II.



NIEŚMY SZCZĘŚCIE POD STRZECZY BIEDNYCH.

O, jakże serce bije radośnie, gdy patrzymy na biedne malutkie dzieci, których twarzyczki opromienia uśmiech szczęścia! Powodem tego szczęścia jesteśmy my, sodaliski.

Ile zadowolenia doznajemy na myśl, że choć trochę możemy przyczynić się do zmniejszenia nędzy i głodu cierpiącym dzieciom.

Pewnego dnia kilka nas sodalisek z orszakową, zebrawszy, co zdążyłyśmy uszyć dla swych małych (każdy orszak opiekuje się jednym lub więcej dziećmi), poszłyśmy na wieś.

Wchodzimy do mieszkania. Oczom naszym ukazał się przykry widok. Brudno tu, głodno. Nędza wyziera z każdego kąta. Na stołeczku przy kominie siedzi bosy i bardzo nędznie ubrany chłopczyk, który skrobie kartofle, a ojciec jego, człowiek o niemiłej powierzchowności, trzeje na tarce, przygotowując z nich pewnie obiad dla siebie i dzieci.

W kącie izby malutki chłopczyzna, prawie w jednej tylko sukieneczynie i podartych bucikach, popłakuje zcicha. Przy nim siedzi dziewczynka i zda

się dumać o czemś, bo oczy utkwiała w jeden daleki punkt. Widząc nas wchodzące i obładowane, choć skromnymi, lecz pochodzącymi ze szczerzego serca podarkami, uśmiechają się do nas, a oczy ich zdają się prosić o litość. Najmłodsze z dzieci, bojąc się widocznie obcych, chowa się za ojca, który zachęca je do odwagi, mówiąc: „Idź, przywitaj panie, dostaniesz cukierka!” Ubrawszy wszystko troje w czyste i całe ubranka, wychodzimy z chaty, przeprowadzane dziękczynnymi słowami obdarowanych.

Idziemy do innej rodziny. W mieszkaniu zastałyśmy matkę z dwiema córeczkami. Mieszkanko, choć nędzne i bardzo małe, czysto utrzymane. Widać na każdym kroku, że czyjaś troskliwa ręka, jak może, zapobiega, by bieda tak strasznie nie zaglądała w oczy.

Dziewczynki umyte, uczesane, skromnie, lecz bardzo czysto ubrane.

Młodsza Wandzia, widząc nas wchodzące, tuli się do matki i, wyciągając rączkę w naszą stronę, mówi: „Mamusiu, już idzie moja panienta, nie zdineła!” Oddawszy im, co przyniosłyśmy, wracamy do domu.

Mając przed oczami nędzę ludzką, postanowiłyśmy podwoić swą pracę i nie żałować trudów, niosąc w ten sposób szczęście i zadowolenie innym.

Renia B. kl. V.

„PRIMA APRILIS”

„Czy się godzi, czy nie godzi,
Czy się gniew, czy radość sprawi,
Dosyć, że się dzisiaj zwodzi
Takich, co to są ciekawi”.

„Dziewczynki, dziewczynki! — słyhać krzyki po rannym pacierzu — zbiórka alarmowa na sali teatralnej!”. Usłyszawszy to, harcerki nie zważają na nic, zostawiają łóżka nieposłane i biegną. Kołdry na ziemi, poduszki pod łóżkiem, p. Stella przerażona na schodach, a harcerki na sali teatralnej.

Po chwili jednak wracają, ale z jakim krzykiem! Przecież to dziś Prima Aprilis. Jedna z drugiej się śmieje, że się tak łatwo dała nabrać.

„Wiecie co? Teraz my musimy kogoś oszukać”. Ofiarą padły seminarzystki, które co chwila otrzymywały różne prezenty, np. wodę kolońską najnowszej firmy — „Marjówka, umywalnia, kran l-szy.”

„Krem — ostatni przebój sezonu (proszek od zębów z wodą), skutek natychmiastowy” i t. p.

Ale nie na tem koniec. Trzeba panie oszukać, przecież to jedyny dzień w roku, w którym wszystko ujdzie bezkarnie. Pierwsza lekcja his-

torja. Po długich tarapatach wpadliśmy na pomysł: zrobimy kolumnę Trajana.

Na piramidzie (z dwunastu stołków) ustawiliśmy biały posąg (Wandzia, ubrana w białe prześcieradło, z kijem od mapy w ręce, a koszem od śmieci na głowie). Po dzwonku wchodzi p. Loda i śmieje się z postaci, którą ujrzała w rogu sali, na stosie taboretów.

Naraz huk! — bo oto hełm z hałasem spada na podłogę i ukazuje się rozczochrana i wystraszona głowa Wandzi. Ale odpokutowaliśmy za nasz figiel, bo pani przy okazji zaczęła nas pytać o Trajana, a my powtórki nigdy nie pragniemy. Inne lekcje starałyśmy się także urozmaicić, np. na robotach ofiarowaliśmy p. Oli pięknie zapakowanego śledzia. Do wieczora nie zaszło nic nadzwyczajnego, ale zato po kolacji stała się awantura. Któraś docwipnisia wywiesiła na drzwiach kartkę z całym szeregiem dziewczynek, które mają wzbroniony wstęp na cały tydzień, że się niby za głośno zachowywały, między innymi znalazły się dostojne osoby z IV i V kursu, i najdostojniejsza między nimi — dyżurna Wisia. U dołu widniał podpis opiekunki czytelní. Wisia C. śmiertelnie się obraziła za tak zuchwały żart i postanowiła zanieść skargę przed groźny trybunał p. Lody, przeto skruszone winowajczynie przyznały się do wszystkiego. Po pacierzu czekała nas prawdziwa, ale przykra niespodzianka. Ledwo weszliśmy do sypialni i zaczęliśmy sobie opowiadać wrażenia z dnia, gdy naraz wpadła przerażona „Kocia nóżka” z ręcznikiem, przewieszonym przez ramię i z rozwichrzonymi włosami.

„Dziewczynki... pożar... pali się” — padają bezładne słowa.

„Ha, ha, ha — śmieją się dziewczynki — nie wierzcie, chce nas oszukać! Przecież to dziś „Prima Aprilis!”

„Ależ naprawdę... p. Stella i... i p. Irena takie czerwone...’ niebo... pożar” zapewnia je przerażona zwiastunka strasznej wieści. Dziewczynki widzą, że „Kocia łapka” naprawdę nie żartuje. Wychodzą więc na korytarz. Istotnie, na niebie widnieje luna, na widok której „Podskubany kurczak” dostaje palpitacji serca, a „Szympanś” ataku spazmów.

„Cicho, cicho — uspokaja dziewczynki zawsze zrównoważona „Poetka” — nie bójcie się, cicho, to jeszcze nie Marjówka się pali. Tak hałasujecie, a p. Przełożona chora.”

Naraz zjawia się p. Irena i wpycha dziewczynki do sypialni. „Proszę się położyć spać” — mówi głosem, nieznoszącym protestu.

Dziewczynki kładą się, szlochając i rozmawiając półgłosem.

„Ale też nam zesłał „Prima Aprilis” niespodziankę — mówi jedna — lepiej żeby go wcale nie było”. Raptem światło gaśnie. Coraz ciemniej... ciemniej... tylko na niebie widnieje luna. Dziewczynki z przerażenia chowają głowy pod kołdry i zasypiają z myślą o pożarze i o „Prima Aprilis”.

Halinka N. i Baśka Z. kl. I



DZIECI POLSKIE NA OBCYZNIE.

W małym, ale czystym pokoiku siedzi kilkunastoletnia dziewczynka. Widocznie kogoś oczekuje, gdyż co chwila spogląda przez okno z niecierpliwością.

— Ach, kiedyż ta Maryśka wreszcie przyjdzie! Czekam i czekam, a jej nie widać tak długo.

Jakby w odpowiedzi na te słowa dało się słyszeć stukanie do drzwi i po chwili Marysia znalazła się w pokoju.

— Przepraszam bardzo za spóźnienie, ale żebyś wiedziała dlaczego, nie robiłabys tak zadasanej minki.

Dopiero teraz Zosia zauważyła, że Marysia trzyma w ręku jakąś książkę i list.

Tymczasem Marysia ciągnęła dalej.

— Wiesz, pani nauczycielka doręczyła mi listy i książkę od naszych rodaczek i dlatego nie przyszłam na czas. Ja już się nacieszyłam, a teraz kolej na ciebie.

Na te słowa Zosia zapomniała o swoich dąsach i zaczęła skakać z radości.

— Od polskich dzieci listy i książkę!

I gorączkowo zaczęła oglądać podarunek, a następnie odczytywała list. Wreszcie odezwała się:

— Jaki miły i serdeczny! Obym mogła kiedyś ujrzeć tę kochaną Polskę, którą znam tylko z opowiadania. Czy będę taka szczęśliwa, aby zobaczyć nasze rodaczki, które tak o nas pamiętają? Chociaż mieszkają one daleko, ale, czuję to, sercem są blisko, blisko. Ile radości sprawiają nam one swojemi listami i książkami! Jakież to musi być szczęście mieszkać w tej pięknej, a tak dalekiej dla nas Polsce!

I obydwie w wielkiem uniesieniu czytały po kilka razy listy.

— — — — —
Tak, my mieszkamy w Polsce, mówimy językiem ojczystym. Patrzymy na pola, lasy, całe bogactwo Polski z sercem, przepełnionem radością. Oddychamy naszym kochanem polskiem powietrzem. I jest nam dobrze, bardzo dobrze.

Nie zapominajmy jednak, że bardzo dużo naszych rodaczek jest w obcym kraju, między obcymi ludźmi. Często wiedzą mało albo nic o swoich

siostrach w Polsce, a przecież tak łatwo temu zaradzić: pošlijmy im list, polską książkę albo skromny podarunek. Niech nas zachęci do tego wielka radość, jaką na pewno sprawiarny polskim dzieciom na obczyźnie.

Irka L. i Sylwia K. kl. II



== KRONIKA: ==

OGÓLNA. 9/III. Imieniny Pani Przełożonej. Każdy kurs i klasa wysłały listy z życzeniami, gdyż P. Przełożona jeszcze nie wróciła do Marjówki po operacji.

19/III. Imieniny Marszałka Piłsudskiego uczczone zostały b. uroczystą akademją, w której wzięły udział uczennice Seminarjum i Gimnazjum. Kurs wieczorowy, pospolicie zwany „Sorboną”, odegrał fragment z czasów wojny światowej.

20/III. Na zwykłą zbiórkę „pewiaczką” zupełnie niespodziewanie zawiatała p. Komendantka z Łodzi. „Pewiaczkom” na chwilę zamarły rycerskie serduszka, ale tylko na chwilę, bo wizytacja wypadła dobrze.

28/III Kurs V-ty przeżywa à la maturalną klasówkę z pedagogicznych. Biedaczki głowią się nie na żarty.

7/IV Zebranie Koła „Jedność”, urozmaicone b. wesołą kroniką, minęło wyjątkowo szybko.

10/IV Marjówkę odwiedził p. Wizytator od Wychowania Fizycznego. Napędził, jak to zwykle bywa, trochę strachu zwłaszcza piątakom, bo był na lekcji jednej z nich, a potem na konferencji. I lekcja i konferencja wypadły dobrze.

12/IV Imieniny Ks. Kanonika. Życzenia składamy rano, każda organizacja osobno. Wieczorem staraniem obu szkół wystawiony został dramat: „Gdzie jesteś, Panie”.

13/IV Za kilka dni jedziemy na święta. Tematem wszystkich rozmów na sypialni, kursie, jadalni, a nawet na spacerze jest ten dzień, środa 17-go.

KURS V. 11/III Lekcja polskiego — powtórka z Reja. Aż to nie rozkosz, jak to, co się wiosną posadzi, dojrzeje? Cypka w zapędzie wylicza: — Jabłka, gruszki, śliwki, kury. — Co, kury dojrzewają? odzywa się któraś.

12/III Lekcja Jasi Bińkowskiej — szpital, doktor, pielęgniarka. Dzieci ogromnie zainteresowane wypowiadają się b. ciekawie, np: — Prose pani, a jak ja byłem chory. to doktor wsadził mi pod pachę taką białą receptę i ściągnął gorączkę—

Albo — poco się idzie do szpitala?

— Bo lepiej jeść dają. Takie i tym podobne odpowiedzi przeplatały b. miłą lekcję Jasi.

17 III W tym dniu ku ogólnej żalobie kursu kilka koleżanek, a mianowicie Szkopek, Stasia i Weja wyemigrowały na inne piętro. Emigracja umiła sobie życie, jak może, ba, nawet rozpylają wodą kolońską atmosferę emigracyjną.

19/III Badaliśmy swoje aniołki (wychowanki). Dzieci wspaniale od 20-tu liczą lepiej od nas.

Przy okazji waży się kurs. Gratka nielada. Karczew pobił rekord w żywej wadze.

21/III Cały kurs przejęty „Weselem”. Co chwila — „Kto mnie wołał, czego chciał”, lub

„Was ta śpi, bo mój ta śpi”

26/III Klasówka nad klasą złowroźnie brzmi

Biedna uczenica o swym stopniu śni.

Oj, ta klasówka! — Całe dnie i całe ranki jej poświęcone. Ciekawe, jak też wypadnie!

27/III Dzień przed klasówką — wszystko drży

Cały dzień pod znakiem Kota! Urodzony w tym dniu będzie wybitnym człowiekiem od kolebki aż do grobu.

Doskonale uwydatni się w nim rozwój psychiczny według Tumlrz'a. Obok umysłu Russa będzie miał w sobie ścisłość Platona i mądrość Sokratesa. Życie swe ułoży według zasad komisji Edukacji Narodowej. Nowe szkoły Kerschensteinera i Decroly'ego będą miały w nim gorącego zwolennika. Zmysł pedagogiczny wybitnie wygórowany w jego umyśle będzie zabijał wszelkie nieścisłości w tym kierunku. Grecja, Rzym, średniowiecze, humanizm, realizm, racjonalizm, naturalizm i najnowsze kierunki będą jego pasją. Charakter danego osobnika „ukształci się” według najnowszych zasad wychowania

— Oby żył szczęśliwie — oby jemu i z nim było dobrze, jak powiedziała K. S. N. Urodzony w tym dniu ma również zapewnioną posadę zaraz po maturze. Rankiem dnia tego lekkie zachmurzenie na horyzoncie pedagogicznym całego kursu. Nad obiadem po 4-ch lekcjach p. Marji lekkie rozjaśnienie.

Wieczorem w każdej umysłowości, zależnie od okoliczności, lekkie lub silne zachmurzenie. Inne zaburzenia nieprzewidywane. Wszystkim urodzonym pod znakiem „Kota” życzymy szczęśliwej drogi w uciążliwej wędrówce życia.

28/III Lekcja matematyki — Marysiu, podaj plan, jak wprowadzisz liczby jednorodne — Oj, proszę pani, ja już zrobiłam powtórkę, niby że dzieci już umieją — wprowadza więc Marysia swoją powtórkę: — Weźmy np. dwa gatunki kaszy — grubszą i drobniejszą i zmieszajmy razem w stosunku... Marysiu, tak nie można, bo się w żaden sposób nie ugotuje...

5/IV Na lekcjach zainteresowanie, ruch. Z powrotem własny raduje się czyste sumienie piątaków.



KURS IV. 18/II. Dowiedzione to już podobno, że najczęściej ludzie wielcy nie chcą i nie lubią się afiszować ze swoimi zdolnościami. Otóż i nasza sławna pianistka H. K., grająca warjacje, czule lechtające ucho znawcy, nie gra na zawołanie. Dziś wyjątkowo na usilne prośby swoich najbliższych zagrała kilka akordów z opery „Szalony oberek”.

6/III „Od dzisisiaj znów zaczynam nowe życie” rozbrzmiewa dźwięczny głosik Heli, siedzącej jeszcze w łóżku. Wszystkie jesteśmy tego samego zdania i po obiedzie dwie delegatki z pośród czwartaków maszerują po 15 śledzi do Smogorzowa.

18/III Jedyna rada dla tych, którzy nie mają znaczka do listu. „No i cóż, Dorciu, zrobiła z tym bilecikiem, do którego nie miała znaczka?” Wyślałam”. „Jakto? To ładne życzenia, za które trzeba płacić”. „E, głupstwa gadasz. Zamiast znaczka wsadziłam pięć groszy do koperty.”

25/III Marysia obchodzi imieniny. Cały kurs jest solidnie zaaferowany. Dorcia jest całkowicie zajęta, bo cały dzień odbiera życzenia telefoniczne. Jeśli chodzi o listy i depesze, nie warto nawet wspominać, bo tych i sama Marysia nie zdołała przejrzeć.

3/IV Wśród czwartaków jest oryginał, który wszystką mądrość zamiast w głowie ma w palcu wskazującym. Wystarczy jej w chwili braku myśli uciec się do tego wybranego członka kończyny górnej, by cel osiągnąć.

KLASA V. 4/III. Danką, idąc po schodach, zauważyła, że w Marjówce to jak w stratosferze: czem wyżej, tem zimniej, cóż więc mówić o sypialniach?

9/III. Emma mówi do p. Stelli, pokazując w pończochach dziury wielkości grzybka do cerowania: „Proszę pani, co za bohaterskie dziury,” a na to Halinka: „Rzeczywiście, trzeba być bohaterką, aby do takich dziur dopuścić”. Pamiętajmy — „Zaszyj dziurkę, póki mała”.

11/III. Na religji ks. Kanonik pyta się, czy wiemy, w którym roku Mussolini zawarł konkordat z papieżem Piusem XI. Cisza... Naraz wstaje Helenka i przypomniawszy sobie konkordat wormacki, z miną triumfującą mówi: „Ja wiem, w r. 1122”.

12/III. „Jutro klasówka z francuskiego” krzyczy Zosia. W klasie zapanowała nagle cisza. Wszystkie myślą, jaki może być temat. Nagle Danusia Ł. zrywa się z krzesła i mówi: „Nie powtarzajcie, ja jestem przekonana, że Madame każe opisać tablicę!” „Co, Madame każałyby opisać tablicę? Tę w klasie? To bajka, ileż jabym napisała?” odzywa się Tola.

Lecz niektóre dziewczynki, nie namyślając się długo, zaczynają opisywać tablicę.

Aż wreszcie Danusia, śmiejąc się: „Ależ dziewczynki, ja myślę o tablicy ze zwierzętami, z sali biologicznej, czyli o obrazie”.



18/III Lekcja geografji. Czytamy o wiedźmach w Rosji, o ich zaślubinach z djabłem, o jeździe na miotłach. Jesteśmy bardzo przejęte. Wtem... o zgrozo!!! Drzwi, które (jak nam się zdawało) były zamknięte na klucz, otwierają się z trzaskiem i najpierw ukazują się szczotki, a za nimi jakieś postacie. — Wiedźmy — szepczą czyjeś zbladłe usta. Zadrżałyśmy, ale po chwili wybuchamy głośnym śmiechem, bo cóż się okazało? Były to sprzątające, które z całą powagą, uzbrojone w kubły i szczotki, kroczyły przez salę mimo protestów panny Strzeleckiej.

KLASA II 4/III Na biologji. Zosiu — mówi pani — powiedz mi, jaka różnica zachodzi między rośliną a zwierzęciem? Zosia myśli chwilę, wreszcie ucieszona woła: — Bo przecież roślina nie ma sierści, a zwierzę ma!

7/III Po wymarciu dynastji Jagiellonów — mówi pani — a przed dojściem do skutku wolnej elekcji sprawami państwa zajmował się prymas... Hlond! — wykrzykuje Wandzia.

8/III Druga klasa bardzo przejęta się postem, więc nawet na lekcjach o nim myśli, o czem świadczy następujący fragment lekcji łaciny.

— Dziewczynki — mówi pani — Jakie znacze czasowniki, mające w rdzeniu „s”? — Na to Zosia: „Post, proszę pani.”

9/III Pewnego razu przyszedł do szpitalika Fircyk. Po dłuższej rozmowie pyta ją Irka: „Zosiu, czy przerobiłyście dzisiaj na geometrii coś nowego?” Na to Fircyk: „No, właściwie nic nowego, tylko odwróciłyśmy jedno twierdzenie kota ogonem”.

„Cóż to znaczy?” — pyta przerażona Irka, myśląc, że podczas jej nieobecności świat się zmienił i dziewczynki na geometrii uczą się o kocie. Na to Fircyk, niezadowolony, że Irka nie zrozumiała: „Ach, jaka ty jesteś niedomyślna, odwrócić kota ogonem, to znaczy — to, co było w założeniu, napisać w tezie, a to, co w tezie — w założeniu. Rozumiesz?”

11/III Pewnego razu jedna z drugoklasistek mówi: „Ja, śpiewając w chórze, zawsze śpiewałabym solo.” No, proszę, czy nie piękne mamy głosiki? Nawet w chórze potrafiłybyśmy śpiewać solo.

14/III Wypracowanie jednej z dziewczynek zaczynało się od słów: „Mikołaj Rej był poetą i pisał tylko prozą”.

Rzeczywiście — to jakiś niezwykły poeta.

18/III Wymieniałyśmy po francusku rzemieślników i ich zajęcia. Gdy przyszła kolej na Zosię, ta z wielkiego pośpiechu zamiast powiedzieć, że kował kuje, powiedziała, że robi konie.

25/III — Kaziu — pyta się pani podczas wycieczki do Rusinowa — czy dziewczęta w Rusinowie ładnie robią wełniaki i haftują?

A Kazia, nie dosłyszawszy ostatniego wyrazu, dała taką odpowiedź: — Wełniaki robią bardzo ładnie, ale jak gotują, to nie wiem.

27/III Jeszcze o francuskim. Miałyśmy ułożyć zdania na nowe słówka. Między innemi było także „aller à merveille”, co znaczy — „być do twarzy”.



Pisałyśmy, że nam do twarzy w kapeluszach, płaszczach, bluzkach i sukniach. Marysia, dla której, niestety, zabrakło już części garderoby, pyta:

— Niuniu, czy w pończochach może być do twarzy?

28/III — Oj, Jasiu, naprawdę... mówi zakłopotana Sylwunia.

— Czego chcesz, Lusi? — pyta Jaśka. — Zapomniałam na śmierć, jak ci na imię — mówi Sylwia

30/III — Proszę pani — pyta Sylwia — jaki to jest uśmiech sarkastyczny?

Uśmiech sarkastyczny — to uśmiech złośliwy, drwiący — wyjaśniła pani.

Na następnej lekcji nasza Sylwunia wstaje znowu: — Proszę pani, a jaki to jest uśmiech sardoniczny? — Podobny do sarkastycznego — mówi pani — ale gdzie ty, Lusi, wynajdujesz te uśmiechy? — Ach, proszę pani, to „Dawid Copperfield” pełen jest takich uśmieszków.

KLASA I 13/III Mamy trzy solenizantki w sypialni, dwie Krysie i Bożenkę. Przygotowujemy w wielkiej tajemnicy prezenty, ale niebardzo się to udaje, gdyż solenizantki z pod kołdry puszczają perskie oczka.

18/III Dziś obchodzimy Imieniny byłej dyrektorki p. Józefy Sieradzkiej. Po przedstawieniu, urządzonem z tej okazji, otrzymujemy cukierki. Tego dnia zasnęłyśmy ze słodyczą w ustach.

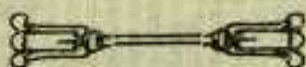
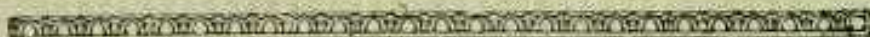
1/IV „Prima aprilis”. W darze każda pani i niektóre uczennice otrzymują listy, woreczki i t. p.

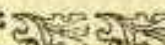
1 kwietnia wieczorem. W pobliskiej wsi wybuchł pożar. Prawdopodobnie spaliły się zabudowania.

4/IV Przychodząc do sali biologicznej, ujrzałyśmy w naczyniach żaby, a na stole pensetki. Każdą przeszedł dreszcz na ten widok. Tego dnia nie miałyśmy apetytu przy obiedzie.

7/IV Od samego rana ruch. Afisz już wywieszony. Przedstawienie francuskie. Obawiamy się, czy tylko wszystko zrozumiemy.

8/IV Dzisiaj nasz występ. Będziemy same prowadziły zebranie klasowe. Przybędzie Ks. Kanonik i p. Stella. Narazie trwamy jeszcze w przygotowaniach.





PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3, 50.

Redaktorka odpowiedzialna: IRENA WITKOWSKA.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW

Druk Szkoły Rzemiosł w Marjówce.

